Opłata pocztowa uiszczana ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Fragment zimowy z nadleśnictwa Oborniki — Fot. inż. L. Martyniec

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 7 (711) 1 MARCA 1933 R.



Podczas żerowania. Z ordynacji Chorostków. Fot. Al. Sikorski.

PROPAGANDA ŁOWIECTWA.

Temat, który pragnę rozwinąć w niniejszym pobieżnym szkicu, zasługuje, mam wrażenie, na uwagę całego społeczeństwa łowieckiego, a zainteresować powinien szczególnie zorganizowaną rodzinę wyznawców z pod znaku św. Huberta, najbardziej powołanych do działania w dążeniu do ogólnego dobra w dziedzinie tak sympatycznego dla nich zagadnienia, jakiem jest łowiectwo.

Samo łowiectwo, przez stosowanie systemów hodowli, ochrony i racjonalnego odstrzału, dążące do maksymalnego rozrostu zwierzostanów, oraz środki i sposoby wykonywania myślistwa, czyli realizowanie produkcji przez zbiór jej plonów, oparte o prawo i obowiązujące przepisy, stanowią same przez się dosyć poważny dział życia gospodarczego.

Ponieważ te zasadnicze funkcje łowiecko-myśliwskie zazębiają się na polu gospodarczem przy stosowaniu sposobów i środków wykonywania swych zadań o długi szereg najróżnorodniejszych działów wytwórczości, o stałe lub chwilowe zatrudnienie bardzo wielu tysięcy ludzi, sumarycznie więc i dla nie-myśliwego, który zada sobie trud zanalizowania działalności łowieckiej, jasnem się stanie jej poczesne miejsce, jakie zajmuje w ogólno-gospodarczym rozwoju kraju.

Niestety, jest tyle innych ważnych i poważnych zagadnień do ustawicznego rozwikływania w ciężkiej walce o dzień jutrzejszy, zwłaszcza w wyjątkowej dobie obecnej, że bezwątpienia doniosłe znaczenie ekonomiczne łowiectwa usuwa się z przed oczu niezbratanych z jego ideą w cień i nie budzi żadnej o losy jego troski.

Tem więcej winny one leżeć na sercu nietylko tych, którzy dążą do stworzenia spoistej organizacji wśród myśliwych, lecz wogóle i tych wszystkich, którzy zszeregowani są pod sztandarem myśliwskiego cechu, a zjednoczeni po większej części tylko pozornie, przez wspólną pasję — polowania.

Niezaprzeczalnie olbrzymią zdobyczą wojujących na polu łowiectwa jednostek i wielką ich zasługą wobec rzesz mało lub wcale nieuświadomionych, a z wytwórczości łowieckiej korzystających, jest przedewszystkiem samo stworzenie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, a następnie dokonanie już w jego imieniu licznego szeregu prac, pozwalających powoli zbierać wszystkim zainteresowanym ich owoce. Najtrudniejsze jest już w każdym razie poza nami.

Wszelako niewytłumaczona obojętność i karygodny, źle zrozumiany egoizm większości myśliwych utrudniają P. Z. S. Ł. jego zadania, krępując rozwój samej instytucji i jej poczynań.

Smutna statystyka z roku 1931 *) mówi, że wówczas tylko 17% myśliwych zrzeszonych było w stowarzyszeniach łowieckich, a tylko 10% za pośrednictwem swych organizacyj należało do P. Z. S. Ł. Na-

*) czerp. z notatki p. inż. B. Dalbora: „Łowiec Polski" z dn. 5.III.1932. Nr. 10.

tomiast 73% myśliwych szło zupełnie luzem, a więc każdy swoją drogą. Czyż można sobie wyobrazić gorszy stan dla wcielania idei łowieckiej we właściwem jej zrozumieniu? Obawiam się jednak, że rok ubiegły nie przyniósł poprawy, różne przyczyny bowiem złożyły się na to, że nastąpił raczej wzrost tych 73%, a spadek 17% i 10%.

Ośmielam się twierdzić, że, chociaż „nie odrazu Kraków zbudowano", młoda, wskrzeszona państwowość nasza zbyt absorbuje umysły zagadnieniami natury politycznej (u powołanych i niepowołanych!) i społecznej, aby samorzutnie wzrastać mogły szybko te organizacje, których działalność nie przynosi bezpośrednio naocznych i będących natychmiast do zrealizowania wybitnych zdobyczy, jak naprzykład łowieckie.

Sądzę jednak, że odpowiedni wysiłek i podejście do sprawy, leżące już dziś teoretycznie w możliwości organizacji naczelnej, P. Z. S. Ł., — przy okazaniu dobrej woli i zaofiarowaniu energicznej pracy ideowej paruset jednostek — mogłyby przynieść wybitną poprawę tego stanu, który nietylko dla istnienia samego Związku, lecz i dla losów łowiectwa posiada pierwszorzędne znaczenie.

Mam na myśli propagandę łowiectwa. Propagandę nie „przy sposobności", lecz stałą, planową, a możliwą do zrealizowania. Lecz jak ją przeprowadzić — bez pieniędzy?

Według oficjalnego wykazu, zamieszczonego w „Kalendarzu myśliwskim" na rok 1933, P. Z. S. Ł. jest w kontakcie z około 650 swymi delegatami, z których część przypada na stolicę (20-tu), reszta w liczbie 630 rozsiana jest w 239 powiatach, z czego wynika, że wiele powiatów nie jest zupełnie obsadzonych. Jeśli odrzucić 34 powiaty województwa poznańskiego, w których mandaty delegatów posiadają nieliczne jednostki, po jednej na powiat (prawdopodobnie z racji największego skonsolidowania tam myśliwych i najlepszego zrozumienia potrzeb łowiectwa w tej dzielnicy), to na obsadzone pozostałe powiaty przypadnie przeciętnie prawie po 3-ch delegatów na każdy.

Główną sprawą, którą delegatom powiatowym powierzono, jest utrzymywanie łączności z władzami administracyjnemi pod względem kwalifikowania jednostek, ubiegających się o karty łowieckie, oraz ściganie kłusownictwa, a także współdziałanie ze stowarzyszeniami we wszelkich innych sprawach, opierających się o władze powiatowe i o P. Z. S. Ł.

Jednak czy wszyscy mandatarjusze w tak ujętych zadaniach swoich ujawniają wystarczającą gorliwość, czyż nie jest raczej tak, że nazwa delegata P. Z. S. Ł. staje się w większości wypadków tylko zaszczytnem mianem szanowanych obywateli?! Mojem zdaniem, niestety, tak jest. I chociaż wybrani delegaci posiadają najwszechstronniejsze kwalifikacje, aby mandatowi swemu sprostać najzupełniej, aby nadto przez inicjatywę własną szerzyć dokoła kulturę łowiecką i na każdym kroku dokładać cegiełkę po cegiełce do budowy gmachu ukochanej przez nich samych sprawy, przeszkodą ku temu jest po części zniechęcenie wśród piętrzących się trudności, brak czasu, ale przedewszystkiem energji i wytrwałości. Bo to jest ludzkie.

Jeśliby tedy zastęp delegatów powiatowych pobudzić, zachęcić, rozruszać i dopomóc im przez planowe działanie Centrali — wierzę, że staliby się oni w rezultacie nadzwyczaj gorącymi patrjotami łowiectwa na zewnątrz, jak są nimi dotąd w duszy i — cementem przyszłego zjednoczenia coraz liczniejszych szeregów myśliwych.

Jaką drogą do tego dojść?

Dotychczas każdy z zatwierdzonych delegatów otrzymywał legitymację i instrukcję, coś w rodzaju planu działania z wezwaniem do wykonywania go. Od czasu do czasu nadchodziło okólnikowe zaproszenie na zjazd, który odbywał się przy minimalnej frekwencji. Sprawozdanie z obrad drukowano w „Łowcu Polskim" z dodaniem apelu do wzmożonego zainteresowania i — koniec. A potem da capo. Niewielka liczba delegatów nawiązała ścisły kontakt z Centralą i wykazać się może owocami odpowiednio pojętej działalności.

Uważam, że, skoro sam wybór delegata następuje wskutek znanych jego zalet w odniesieniu do sprawy, należałoby zmodyfikować tylko ten oficjalny, nieco zimny stosunek P. Z. S. Ł. do delegatów w ten sposób, aby był stosowany kontakt indywidualny z każdym z nich z inicjatywy Związku. I to kontakt stały przez korespondencję. Przedstawiane winnyby być prośby o wykonanie ściśle określonego zadania w pewnym terminie (np. sprawozdań z działalności, dostarczania danych statystycznych i t. p.), potem następowałyby często wielokrotne przypomnienia w razie braku dość szybkiej odpowiedzi delegata, wzywanie go do odwiedzin Centrali podczas bytności w stolicy i t. d. Wynik byłby przypuszczalnie taki, że wkońcu niejeden nakląłby w duszy, ale — „noblesse oblige", inny na odczepnego wykonałby pracę, o którąby Związek dość nalegał. Część — złożyłaby swe mandaty. Trudno! Następcy ich zato zastanawialiby się dłużej nad przyjęciem roli delegata, lecz wiedzieliby wyraźniej, czego się podejmują i co będzie nietylko ich zadaniem, lecz bądź co bądź przyjętym na siebie obowiązkiem. Możeby w rezultacie było wogóle mniej delegatów, lecz praca pozostałych nosiłaby z pewnością cechy wybitnej i pożytecznej działalności. Jednak należałoby w każdym razie postarać się koniecznie o jak najszybsze dopełnienie szeregu delegatów na powiaty do dziś puste.

W tym celu, aby stosunki te zmienić w trosce o lepsze jutro łowiectwa, czy nie byłoby również wskazanem stworzenie czegoś w rodzaju samoobrony zagrożonej idei i jej placówek przez powołanie specjalnego wydziału propagandy przy P. Z. S. Ł.? Dziesiątki sposobów jego działania w sprawie zorganizowania pracy delegatów i rozbudzenia idei łowieckiej wśród „dzikich" myśliwych — gdyż mało który jest „dzikim" z przekonania—cisną się o pierwszeństwo. Przedewszystkiem organizowanie zjazdów delegatów powiatowych na terenie ośrodków wojewódzkich, z udziałem przedstawicieli wydziału propagandy, i częstszych, niż raz do roku. Między innemi — odczyty. I to właśnie nie w stolicy, nietylko radjowe (tych bywa zresztą zbyt mało!), ale w każdym zakątku kraju, w każdym powiecie, przy wyzyskaniu zarówno zebrań stowarzyszeń

i kół myśliwskich, jak nawet rolniczych, ziemiańskich, np. kół „porad sąsiedzkich". Pogadanki, wygłaszane właśnie przez delegatów powiatowych. Odczyty członków wydziału propagandy Centrali i wojewódzkich Oddziałów P. Z. S. Ł. podczas ich bytności w różnych miejscach kraju, w porozumieniu z miejscowemi stowarzyszeniami łowieckiemi.

Sądzę, że najwłaściwiej kadrą takiego wydziału propagandy mógłby stać się Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego", a przynajmniej część członków tegoż, lub wreszcie zespół pewnej liczby delegatów stołecznych. Śmiem przypuszczać także — a może łudzić się tylko — że od zamożniejszych jednostek z pośród ideowych myśliwych, rozsianych po całym kraju, możnaby się spodziewać pewnych dobrowolnych ofiar na wielce pożądany fundusz propagandowy. Istotnie gorące przejęcie się swem zadaniem przez członków tak pomyślanego wydziału propagandy, a więc ludzi idei, dobrowolnie ofiarowujących swą pracę, przyniesłby powinno pożądane rezultaty w rozroście zrzeszeń, a co za tem idzie i Związku. Działalność tego wydziału przywróciłaby, być może, wkrótce równowagę budżetowi „Łowca Polskiego", który tak bardzo wiele uczynił już dla rozwoju kultury łowieckiej, pozwoliłaby mu porzucić uszczuplone dziś ramy i krzepko ująć raz na zawsze batutę w koncercie tych głosów, jakie na dnie duszy każdego myśliwego tworzą pieśni piękna i czaru.

Oby tak się stało!

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

NOC I PORANEK.

Duża, pięknie zaokrąglona tarcza księżyca, wysunąwszy się z za szpaleru starych lip ogrodowych, jęła wolno wznosić się ku górze, zalewając ziemię powodzią bladego, migotliwego blasku. Całun śnieżny, wyściełający łąki i pola, ciążący na drzewach i drobnych krzewinach, lśnił w tem martwem świetle miljardami brylantowych ogni. Silny mróz zasnuwał oświetlone okna domu witrażem srebrnych gałęzi i gwiazdek, załamujących w sobie błyski księżycowej poświaty.

Siedziałem przy stole, racząc się wonną herbatą i rozprawiając z przemiłą panią domu na temat tegorocznych zabaw karnawałowych w mieście, kiedy nagle z przed ganku doleciało donośne parskanie koni. Przełknąwszy ostatnie hausty aromatycznego napoju, pośpiesznie powstaliśmy od stołu. Zbliżyłem się do okna, za którem srebrzył się oświetlony termometr. Spojrzałem. Nie ufając sobie, oparłem czoło o zimną szybę, licząc starannie kreski poniżej zera. Nie myliłem się: było ich dziewiętnaście.

Pożegnawszy gościnnych gospodarzy, włożyłem sympatyczną wilczurę i, zabrawszy strzelbę — wyszedłem na ganek, przed którym oczekiwały już obszerne sanie, zaprzęgnięte w parę rosłych kasztanów. Ulokowawszy się wygodnie na siedzeniu, postawiłem wysoki kołnierz i, kryjąc ręce w rękawach, poleciłem woźnicy ruszać. Skrzypnęły jękliwie płozy na twardym, wyślizganym śniegu, kierując się w stronę ciemniejącego w dali lasu, wyróżniającego się zębatą linją na tle nieba. Kiedyśmy wyjechali w pole — ogarnęło nas mroźne tchnienie zimowej nocy. Srebrzysty krąg księżyca świecił jasno, że widno było jak we dnie. Twardy, zeszroniały śnieg chrzęścił miarowo pod nogami koni, otoczonych kłębami pary, osiadającej na ich grzbietach i bokach w postaci igiełek szronu, pokrywającego także nasze wąsy, brwi i kołnierze. Piękna sadź tkwiła na konarach mijanych drzew i krzewów, przypominających teraz do złudzenia gałązki białych korali. Mróz szczypał dotkliwie w nos i policzki, kłuł w palce u nóg, wyciskał z oczu łzy...

Woźnica porzucił utarty szlak i, chcąc skrócić drogę, ruszył naprzełaj. Z łoskotem załamującej się pod ciężarem koni skorupy śnieżnej, przejechaliśmy przydrożny rów, pędząc polem w stronę jeziora, za którego lustrzaną szybą, wtulona w gąszcz brzozowych zagajników, znajdowała się gajówka Nowosady, będąca celem naszej podróży. Po półgodzinnej przeszło jeździe, dotarliśmy do jeziora, połyskującego taflą przezroczystego lodu, z którego wiatr zmiótł dokładnie cały śnieg. Z opuszczonemi nisko łbami, węsząc i chrapiąc, ostrożnie wchodziły konie na śliską powierzchnię, pękającą gdzieś w oddali z hukiem armatniej salwy. Wolno, potykając się i ślizgając, szły kasztany, strzygąc uszami, a woźnica upominał je cichemi wykrzyknikami.

Nagle gdzieś od strony opuszczonych niedawno pól, popłynęło niskie, basowe, pełne jakiejś bolesnej skargi, wycie wilka. Wnet zawtórowało mu drugie, o tonie znacznie wyższym, potem trzecie. Wspaniałe trio rozlegało się nad uśpioną okolicą. Górował w niem wysoki i bardziej melodyjny głos wadery. Otulony w ciepłe futro, siedząc wygodnie w saniach, wsłuchiwałem się w te groźne i ponure dźwięki, brzmiące tak nastrojowo w księżycową poświatę zimowej nocy.

Ze szklistej powierzchni jeziora wjechaliśmy w młody zagajnik. Przed nami coraz to wyrastały oszronione krzewy i, ocierając się o sanie, zasypywały nas śniegiem. Zmęczone konie pokryły się obłokami pary, z trudnością wyciągając sanie z głębokich zasp. Lecz droga taka nie trwała zbyt długo, wkrótce bowiem wydostaliśmy się na ubitą dróżkę, która doprowadziła aż do wrót gajówki. Rzuciłem za siebie ostatnie spojrzenie.

Zagajnik wyglądał jak kraina z bajki, jak fantastyczny świat zaczarowany. Młode drzewka, okryte kiściami delikatnego, białego puchu, tworzyły na tle ciemnego nieba dziwaczny rysunek, ale nadzwyczaj subtelny, przekreślony gdzieniegdzie czarnem pasmem obnażonej gałęzi, lub szmaragdowym wachlarzem łapek świerkowych, oblanych mdłem światłem księżyca, a od spodu przysłoniętych welonem szafirowego mroku, wypełzającego na nieskazitelną biel śnieżnego podłoża pasami niebieskich cieni. A wysoko, na wygwiażdżonem sklepieniu nieba, jak olbrzymi reflektor, jarzył się srebrny krążek grymaśnie wykrzywionego księżyca.

Skoro tylko rozpędzone sanie zatrzymały się przed maleńkiem zabudowaniem gajówki — skrzypnęły drzwi i ukazał się w nich dawny towarzysz moich łowów, stary Piotr Sołohub, zapraszając do wnętrza. Z przyjemnością wkroczyłem do ciepłej izby, zrzucając ciężką wilczurę i rozprostowując zdrętwiałe nogi. Na palenisku dużego pieca pełzały niebieskie płomyki dogasającego żaru, oświetlając wnętrze chaty czysto wybielonej, z dużym, niemalowanym stołem pod oknem, nad którem widniał w migotliwem świetle szereg obrazów świętych, z zatkniętemi za nie poświęconemi gałązkami wierzby, zdobnej w barwne, papierowe kwiaty. Pod ścianą dojrzałem szeroką ławę, na której bez namysłu wyciągnąłem się wygodnie, przykrywając futrem. Wiedziałem, że w pierwszych brzaskach zorzy wyruszymy na polowanie, nie należało więc tracić czasu, przeznaczonego na krótki

wypoczynek. Drzemiąc już, słyszałem, że po ulokowaniu wyprzęgniętych koni w stodółce, wrócili do izby woźnica z Piotrem i pokładli się do snu na sąsiedniej ławie. W chacie zapanowała cisza, kołysząca do drzemki zziębnięte i zmęczone ciała. Ogień na palenisku zgasł i tylko przez małe okienka, zasnute iskrzącemi się kwiatami lodu, sączył się do wnętrza izby blady, zabłąkany promień księżyca. Z podwórka dolatywało trzaskanie pękających od mrozu belek w budynkach i żałosne lamenty wilczego stada, krążącego gdzieś w pobliżu. Na głos ten, śpiący pod ławą w smudze światła gończy, Zagraj, który wkradł się za swoim panem do chałupy, jeżył na grzbiecie czarną sierść i warczał zcicha. Ale wreszcie sen skleił mi powieki i straciłem świadomość tego, co się działo. Zbudziły mnie dopiero czyjeś kroki w izbie i przyciszona rozmowa. Otworzywszy z trudem oczy, ujrzałem ubranego do drogi fornala. Odjeżdżał już z powrotem do dworu. Tymczasem Piotr, siedząc na ławie, nabijał swoją kapiszonówkę, wysypując z butelki na dłoń czarne ziarenka prochu. Na dworze parsknął koń, zaskrzypiały przeciągle sanie, poczem wszystko ucichło — woźnica pojechał.

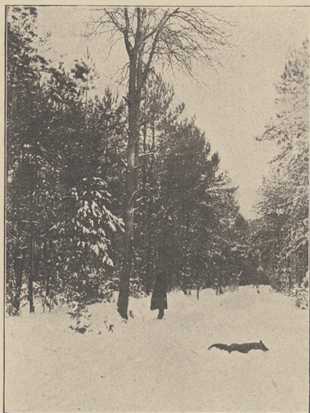
Powstałem niechętnie, zbliżając się do okienka. Granatowa kopuła nieba, nabita srebrnemi gwoździami gwiazd, rozpościerała się nad okolicą, zalaną szafirowym mrokiem. Na wschodzie granat ten przechodził w jasny seledyn jutrzenki. Pozostawiwszy wilczurę, włożyłem krótki kożuszek i nabiłem strzelbę. Czas jakiś siedzieliśmy w chacie, przyglądając się rozniecone mu w piecu ognisku, na którem w okopconym imbryku gotowała się herbata. Po wypiciu jej wyruszyliśmy na łowy.

Szliśmy po twardej, zmarzniętej skorupie śnieżnej, utrzymującej z łatwością ciężar człowieka, ku odległym błotom leśnym. Przed nami w wesołych podskokach biegł czarny, rudo podpalany Zagraj, obwąchując starannie napotkane tropy zajęcze. Niebo wciąż jaśniało, rozlewając na śniegu lekkie, pastelowe odcienie barwy liljowej i seledynowej, żywiej występujące na odkrytych pagórkach. Daleka linja widnokręgu znaczyła się już rąbkiem płonącego złota.

Wchodziliśmy na małą haliznę błotną, otoczoną, niby pierścieniem, młodym zagajnikiem brzozowym, kiedy nagle z pod nóg idącego na przedzie gajowego wytrysła fontanna śniegu i czarny, o metalicznym połysku, cietrzew kogut oddalił się z głośnym łopotem. Zaraz, nieco dalej, jak wystrzelona raca, porwała się pstra cieciorka i uszła w las z przeciągłem gdakaniem. Zrozumiałem, że trafiliśmy na stado cietrzewi, zagrzebanych na noc w śniegu. W istocie dookoła nas widniały wszędzie charakterystyczne jamki, wśród których wyróżniały się dwie, przed chwilą przez ptaki opuszczone. Przy nich stara, zlodowaciała powierzchnia przyprószona była, niby pudrem, warstewką nieskazitelnej białości śniegu, wydobytego z głębin nazewnątrz, wyraźnie rzucającego się w oczy barwą i śladem uderzeń skrzydłami. Nie mając zamiaru polować dzisiaj na cietrzewie, szliśmy dalej, nie zważając na ustawiczny łopot zrywających się ptaków.

Dotarłszy o wschodzie słońca do wąskiej szyi błotnej, łączącej się z dużą połacią leśnego moczaru, porośniętego trzciną, łozą, karłowatą świerczyną i młodemi brzózkami, zatrzymałem się na znanym przesmyku. Piotr wziął na otok psa i udał się na przeciwległy skraj zaśnieżonego bagniska.

Długo trwała niezmącona cisza. Chłód poranku jął dotkliwie dawać mi się we znaki, to też przestępowałem z nogi na nogę, bojąc się innemi ruchami spłoszyć może już idącą ku stanowisku zwierzynę. Nagle gdzieś daleko, jak dźwięczny sygnał trąbki, zabrzmiał głos gonu, narazie niepewny, często przerywany, potem już rytmiczny, szybki, zaciekły... Lał się donośną kaskadą tonów w uroczystej ciszy leśnej, coraz się przybliżając w moją stronę. Wiedziałem, że stanowisko mam niezawodne. Każdy bielak, ruszony z błota, musi tędy przechodzić. Tymczasem gon rwał się coraz częściej, następowały długie pauzy, aż wreszcie zamilkł zupełnie. Znając jednak dobrze fortele bielaka, przepełzającego często na brzuchu pod wykrotami i nawisłemi gałęziami świerków, nie przestawałem obserwować rzadszych luk. W istocie i tym razem doświadczenie mnie nie zawiodło. O dziesięć kroków przedemną drgnęły gałązki łozy, posypał się z nich śnieg i zaraz zauważyłem przekradającego się białego jak mleko zająca. Szybki strzał unieruchomił go na wieki.



Na linji. Fot. K. Komierowski.

Uważając polowanie za skończone, spokojnie złamałem strzelbę i, załadowawszy nowy nabój, zarzuciłem ją na ramię. Wtem do uszu moich doleciał miarowy odgłos pędzącego w dużych susach jakiegoś zwierzęcia. Złapałem ponownie dubeltówkę, lecz zachrzęściły w oddali krzaki i wypadł z nich Zagraj, sadząc z podtulonym ogonem wprost przed siebie i nie zwracając najmniejszej uwagi na dobrze widoczny trop bielaka. Zachowanie się takie niezwykle karnego psa bardzo mnie zdziwiło. Gwizdnąłem. Ogar osadził się w biegu, zatrzymał i, dostrzegłszy mnie, zbliżył się galopem, kładąc się przedemną na śniegu.

Huknąłem na Piotra, który wkrótce mi odpowiedział i zaraz potem wyłoniła się z zarośli jego szara, ośnieżona postać. Spojrzał na dźwiganego przezemnie bielaka i rzekł tajemniczo, bym szedł za nim.

Zagłębiliśmy się w zawalone śniegiem gąszcza łozy, przedzierając się z trudnością przez splątane fantastycznie pręty, wystające z głębokich zasp. Po kilkunastu minutach uciążliwego marszu wydostaliśmy się na małą polankę, przeciętą szeregiem jakichś tropów. Sołohub zatrzymał się i w milczeniu wskazał palcem śnieg. Pochyliłem się, badając tajemnicze, szyfrowane pismo zwierzęce.

Na twardej, zlodowaciałej skorupie, przyprószonej cienką warstewką świeżego śniegu, odcinał się wyraźnie, jak sznur opali, ślad bielaka, na którego tle

widniały tropy Zagraja. Ale tuż obok, dostrzegłem odciski dużych, wyraźnie wytłoczonych w galopie łap pary innych zwierząt. Przetarłem oczy i spojrzałem na Piotra. Ten uśmiechnął się tajemniczo, mówiąc: tak, panoczku, wilki.

Dopiero teraz zrozumiałem dziwne zachowanie się Zagraja. Cofając się po wilczych tropach, zbadaliśmy dokładnie przebieg leśnego epizodu. W pobliskich gąszczach łozy, na suchszej kępie, leżały szczątki rozszarpanego jakiegoś wioskowego kundla. Szeroko rozwleczone widniały kawałki skóry, kłaki pstrej sierści, ogon i resztki kości, a liczne plamy krwi barwiły śnieg, zryty i zdeptany łapami szarych rozbójników. O kilometr dalej, pod gałęziami rozłożystego świerku znajdowały się dwa legowiska.

Widocznie po nocnej uczcie para wilcza zaległa w błocie, spędzając czas na błogiej drzemce. Nagle do uszu czujnych drapieżników doleciał bliski głos gonu. Przypomniawszy smak psiego mięsa — ruszyły wilki na łowy, ścigając Zagraja wyciągniętym galopem. Ale mądry ogar, dostrzegłszy niebezpieczeństwo, porzucił trop bielaka i pędził naprzełaj ku mnie. To właśnie było powodem, że gon ustał zupełnie. Lecz uchodzący zając wyprzedził psa i pierwszy zjawił się na przesmyku. Na mój strzał — jak wskazywały tropy — oba zbóje dały nieprawdopodobny skok wprawo i uszły w las, ku kniejom wiazyńskim. A były już tylko o pięćdziesiąt kroków odemnie.

Gdyby nie gąszcze łozy — niewątpliwie dostrzegłbym już wilki i, wstrzymawszy się ze strzałem do bielaka, zrobiłbym później piękny dublet. Bowiem Zagraj pędził właśnie szyją błotną na moje stanowisko, pociągając i pogoń za sobą.

Z pogardą spojrzałem na przytroczonego do pasa zająca. Gdyby nie on, kto wie, czy nie dwa siwe cielska, o cudownym puszystym włosie i ciemnych, biegnących przez grzbiet pręgach leżałyby teraz na przesmyku, szczerząc groźne, pięknie połyskujące zęby, po którychby spływała rubinowa krew... Ale— trudno.

Ruszyliśmy śladami uchodzących wilków ku dalszym ostępom. A z nad lasu wypłynęło tymczasem duże, ogniste słońce i, wznosząc się ku górze — patrzało pogodnie uśmiechnięte na cudownie omszone drzewka i skrzący się miljardami iskier śnieg, po którym słały się blade, szafirowe cienie.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

WOLNA TRYBUNA.

DZIERŻAWA CZY ODSTRZAŁ?

Od Dyrekcji lasów państwowych we Lwowie otrzymujemy wyjaśnienie, które poniżej zamieszczamy. Nie załatwia ono, zdaniem redakcji, kwestji, poruszonych pod tym samym tytułem w artykule redakcji w N-rze 48 „Łowca Polskiego" z 10 grudnia r. z. *REDAKCJA.*

Na łamach fachowych pism łowieckich ukazały się artykuły, w których przyczyny lichych wyników polowania na jelenie w czasie rykowiska w jesieni 1932 r. dopatrują się autorowie głównie w tem, że Ministerstwo Rolnictwa, zamiast dotychczasowych długoletnich dzierżaw terenów łowieckich, wprowadza sprzedaż odstrzału jeleni w Karpatach.

We wspomnianych artykułach autorzy starają się — nie siląc się zresztą na dowody rzeczowe — udowodnić, że jedynym racjonalnym sposobem użytkowania łowiectwa jest długoterminowa dzierżawa terenów, względnie rewirów łowieckich na terenach lasów państwowych. Wybitny znawca spraw łowieckich na terenach Małopolski Wschodniej posuwa się do twierdzenia, że Ministerstwo Rolnictwa „ograniczając d o m i n i m u m wydzierżawianie terenów", a wprowadzając wydzierżawianie odstrzału pojedynczych sztuk jeleni, nie tylko nie osiąga lepszego wyniku finansowego, lecz nadto powoduje tem zarządzeniem „niebezpieczeństwo, grożące nieobliczalnemi wprost konsekwencjami dla stanu jeleni w Karpatach" i wyraża obawę, że „zaprowadzenie odstrzału w krótkim czasie z n i s z c z y obecny stan karpackiego jelenia".

Ponieważ przy rozstrzyganiu zasadniczego pytania: „dzierżawa, czy odstrzał" zaczepili autorowie dość złośliwie i tendencyjnie gospodarkę łowiecką na terenach Dyrekcji lasów państwowych, przeto w imię prawdy i objektywnego przedstawienia stanu rzeczy Dyrekcja uprasza o umieszczenie na łamach Szanownego Organu następujących wyjaśnień:

Niezgodnem z istotnym stanem rzeczy jest twierdzenie w artykule „Dzierżawa rewirów, czy odstrzał jeleni w Karpatach", że Dyrekcja ograniczyła dzierżawę terenów do minimum.

Z łącznej bowiem powierzchni 302.957 ha, na cele łowiectwa eksploatowanej, — przeznaczyła Dyrekcja do wydzierżawienia na okresy dłuższe osobom trzecim 158.393 ha., co czyni okrągło 52% powierzchni ogólnej. Przy dzierżawie starała się Dyrekcja podtrzymać dawną tradycję i uwzględniała przedewszystkiem tych myśliwych hodowców, którzy dla utrzymania i podniesienia łowiectwa na terenie Dyrekcji, jakoteż Małopolski, położyli pewne i znane zasługi, jak hr. Tarnowscy z Dzikowa, hr. Potoccy z Krzeszowic, p. Habicht z Grodźca i inni. Rozumie się, że z czynszem dzierżawnym od 1 ha, nie mogła Dyrekcja iść niżej, niż na to pozwalały miejscowe warunki i wyniki z dzierżaw już dokonanych. Przy tej sposobności wypada zauważyć, że dla jednego z Panów, podnoszących żale, została wyznaczoną tenuta dzierżawna za najpiękniejszy rewir jeleni taka sama, jak za inne rewiry, pod każdym względem gorsze. Inni dzierżawcy, którym chodziło naprawdę o zabezpieczenie prawa polowania na jelenia, podpisali klauzulę o parytecie złota bez sprzeciwu, gdyż nie był to żaden kaprys Dyrekcji, lecz postanowienie, oparte na zarządzeniu Ministerstwa Rolnictwa, wynikającem z artykułu 16-go Rozp. Prez. Rzp. P. z dnia 5.XI.1927 r. Możliwe zatem, że inne powody były przyczyną, że dany dzierżawca, korzystając z ponownego żądania podpisania dodatkowej klauzuli, wycofał się z podpisania kontraktu.

Pomimo takiego postawienia sprawy, Dyrekcja, uwzględniając zasługi i wydatki, poczynione, w czasie długoletniej dzierżawy, odstąpiła mu prawo odstrzału 4-ch jeleni, czem dała dowód, że nie tylko dotychczasowym dzierżawcom nie robi żadnych trudności, lecz, owszem, w każdym kierunku — w granicach dopuszczalnych — idzie im na rękę.

Jak z dotychczasowych poczynań w dziedzinie łowiectwa wynika. Dyrekcja bezwarunkowo nie uczyniła, ani też uczynić nie zamierza, kroku decydującego o dzierżawie wyłącznie, lub też tylko o odstrzale jelenia na rykowisku.

Jak wykazuje obecna praktyka, Dyrekcja wydzierżawia część terenów znanym hodowcom - myśliwym, a resztę pozostawia jako teren, na którym przez sprzedaż odstrzału indywidualnego zamierza uzyskać lepsze wyniki finansowe, umożliwiając konkurencję myśliwym mniej zamożnym, o ile zechcą pokusić się o zdobycie wieńca jelenia karpackiego. Dyrekcja uważa, że tego rodzaju rozwiązanie sprawy najlepiej odpowiada istniejącym warunkom, a w żaden sposób nie zagraża zniszczeniem jelenia w Karpatach.

Autor wspomnianego artykułu twierdzi dalej, że

tylko dzierżawca-hodowca jest w możności roztoczyć należytą opiekę nad rewirem, gdyż tylko pod kontrolą zamiłowanego dzierżawcy-myśliwego może straż łowiecka własna chronić zwierzostan od wilka i straszniejszego jeszcze wroga, górala kłusownika.

Po wypowiedzeniu tego twierdzenia wyraża autor nadleśniczym i leśniczym pewne uznanie z tytułu zamiłowania do łowiectwa, usprawiedliwiając ich równocześnie, że wobec nawału prac gospodarczych nie są w stanie należycie łowiectwa dozorować, wobec czego opiekę nad łowiectwem przerzucają na personel leśny niższy, który nie może, *a często i nie chce*, chronić zwierzostanu, powierzonego jego opiece.

Twierdzenie powyższe jest co najmniej ryzykowne, a w każdym razie niezasłużone i w wielkim stopniu krzywdzące dobre imię niższego personelu ochronnego.

W tem miejscu podnosi Dyrekcja fakt, że w roku bieżącym w okresie *rykowiska z rąk kłusowników padło trzech gajowych*, następnie przy pomocy jedynie gajowych państwowych zostały przeprowadzone liczne rewizje u kłusowników i skonfiskowano broń, jakoteż najrozmaitsze akcesorja myśliwskie, a ujętych kilku bardzo niebezpiecznych kłusowników oddano w ręce sprawiedliwości. W razie potrzeby każdej chwili może Dyrekcja służyć konkretnemi danemi. Prócz tego przy współudziale straży granicznej zostały przeprowadzone obławy na terenach granicznych, najwięcej eksponowanych, uwieńczone również bardzo dodatniemi wynikami. Zdaje się, że nie potrzeba udowadniać, iż funkcjonarjusz niższy, którego byt — w ramach odnośnych ustaw — jest zabezpieczony, będzie się starał o wiele sumienniej i pewniej wykonywać służbę ochronną, niż jakiś przygodny dozorca łowiecki, przeważnie właśnie z miejscowych kłusowników dobierany. O utracie życia przy ochronie zwierzyny przez straż, wynajętą przez dzierżawców w ostatnich latach, Dyrekcja nie posiada żadnych wiadomości.

Zamiłowanie do łowiectwa wynika już z samego poświęcenia się zawodowi leśnika i tylko do wyjątków należy zaliczyć fakty, gdzie personel wyższy, czy też niższy, zaniechałby inicjatywy w kierunku ścigania i ukracania kłusownictwa. Wypadków tragicznych tak między leśniczymi, jak też personelem niższym, w związku ze ściganiem kłusownictwa, Dyrekcja może przytoczyć bardzo wiele.

Dyrekcja twierdzi, że, jako właścicielka terenów łowieckich, zainteresowana bezpośrednio w usprawnieniu łowiectwa, jest jedynie tym czynnikiem, który przez swoją administrację stoi na straży interesów łowiectwa i w dzisiejszych trudnych warunkach finansowych nie szczędzi kosztów w kierunku utrzymania, hodowli i podniesienia zwierzostanu. Liczne zarządzenia w kierunku tworzenia paśników, lizawek, niszczenia drapieżników i dokarmiania zwierzyny z jednej strony, a z drugiej przeznaczania na ten cel dość poważnych funduszów, dają najlepszy dowód bezustannej troski o zwierzostany i to takiej, na którą żaden z dzierżawców w czasach obecnych zdobyć się nie może.

Również nieuzasadnione są żale na nikłe wyniki tegorocznego rykowiska. Znaną jest rzeczą, że wskutek zbyt zawalnej i przewlekającej się zimy stan jeleni bardzo ucierpiał ze strony drapieżników, a prócz tego wspomniana okoliczność była powodem, że tegoroczne wieńce były bardzo liche, a rykowiska bardzo słabe. Na te ujemne strony rykowiska 1932 r. narzekano wszędzie i nie stoją one w żadnym stosunku do kwestji „dzierżawy czy też odstrzału".

Natomiast Dyrekcja podnosi kilka faktów, które wcale nie świadczą o tem, że dzierżawcy łowiectwa bezwzględnie dokładają starań około utrzymania zwierzostanu i powodują się li tylko ideowem ujęciem kwestji łowiectwa, a mianowicie:

Były dzierżawca terenu „Riczka" w nadleśnictwie Rafajłowa nie wykonywał żadnych inwestycyj, ani też dokarmiania zwierzyny, do czego był według umowy zobowiązany i pomimo ponagleń nadleśnictwa. Nadleśniczy Rafajłowej wykonał najkonieczniejsze zabiegi z funduszów własnych i do dziś dnia nie otrzymał zwrotu wyłożonej gotówki.

Tak samo były dzierżawca rewiru „Hnilica" w nadleśnictwie Tatarów, nie dał się nakłonić do jakichkolwiek, chociażby najdrobniejszych wkładów, pomimo, że z rykowiska starał się wyciągnąć zyski jak największe.

Wreszcie w rewirze „Worochta", którym się jeden z autorów specjalnie opiekuje, pomimo interwencji ze strony nadleśnictwa „dzierżawca-hodowca", nie martwiąc się wcale o los zwierzostanu, rozpuścił w listopadzie 1931 r. personel łowiecki ochronny, a rewir pozostał do lipca 1932 r. bez tej, tak wychwalanej, opieki dzierżawcy. Rozumie się, że nadleśnictwo własnemi środkami zwierzostan chroniło i tępiło kłusownictwo w tych nader ciężkich warunkach. Dziwnem też się wydaje, gdzie się te liczne jelenie podziały, gdyż do rykowiska 1932 r. opiekował się tym terenem „dzierżawca-hodowca".

Niema żadnych rzeczowych dowodów, ażeby administracja lasów państwowych w czemkolwiek zaniedbywała ochronę interesów łowiectwa na jej terenach. Rozumie się, że o ile tereny te wydzierżawia, to nie utrzymuje na nich specjalnej straży łowieckiej, gdyż obowiązek ten ciąży na dzierżawcy, natomiast na terenach własnych utrzymuje prócz tego specjalną straż łowiecką.



Z polowania w Trzebieniu. 15 dzików w dwa dni.

Obawy zatem autorów o zniszczenie stanu jeleni są zupełnie bezpodstawne, a Dyrekcja lasów państwowych ma zupełne prawo do twierdzenia, że wskutek wzmożonej opieki i ochrony stan ten z roku na rok wybitnie się poprawia, tak, że drzewostany z odnowieniem jodły na terenach podkarpackich zaczynają już wykazywać znaczne uszkodzenia przez jelenie.

Również niczem nieuzasadniona jest troska o żale czy też niezadowolenie z powodu niewypłacania przez skarb Państwa należnych ludności miejscowej odszkodowań za szkody wyrządzone przez zwierzynę. Na tem miejscu możnaby jedynie wyrazić życzenie, ażeby dzierżawcy tak na terenach swoich, jak i na państwowych, stosowali się do postanowień ustawy tak skrupulatnie, jak to czyni skarb Państwa.

Zarzuty zatem przeciwko gospodarce Dyrekcji lasów państwowych w dziedzinie łowiectwa, podniesione w wspomnianych artykułach, uważać należy jako zupełnie niesłuszne, a pp. myśliwi-hodowcy mogą być spokojni, że, o ile się zwrócą do Dyrekcji, lub do Ministerstwa Rolnictwa czy to w sprawie dzierżawy terenów, czy też z jakiemkolwiek zażaleniem, to sprawy te będą rozpatrywane objektywnie i pod kątem zabezpieczenia interesów łowiectwa.

BACZNOŚĆ MYŚLIWI!

Pod tym tytułem pojawiła się w N-rze 47 „Łowca Polskiego" z d. 1 grudnia r. 1932 odezwa Wydziału Wykonawczego, nawołująca wszystkich „myśliwych dobrej woli" do składania ofiar na podtrzymanie Związku i jego organu, „Łowca Polskiego", których egzystencja jest poważnie zagrożona.

Odezwa ta nie powinna pozostać bez echa — wszyscy myśliwi, którym dobro Związku i „Łowca Polskiego" leży na sercu, powinni się połączyć jednym łańcuchem wielkiego wysiłku i, składając ofiary według możności, zasilić fundusze tak Związku, jak i „Łowca Polskiego", by podtrzymać byt tych dla łowiectwa tak potrzebnych instytucyj.

Periculum in mora! Tu nie można zwlekać, należy natychmiast działać, gdyż jutro może być już zapóźno, a przecież nie możemy dopuścić do tego, żeby tak wielkim wysiłkiem zorganizowany Związek przestał istnieć, grzebiąc pod swemi gruzami naszą spójnię duchową, „Łowca Polskiego".

Związek jednoczy w sobie około 6.000 członków. Niech przynajmniej 10% złoży przeciętnie zł. 20.— to otrzymamy w sumie około 12.000 zł., co pozwoli Związkowi przetrwać jeszcze jeden, a może też i ostatni rok kryzysu.

Ale od słów przechodzę do czynu: składam na ołtarzu św. Huberta 20 zł. i — jako niepoprawny optymista — wyrażam nadzieję, że nie zostanę tutaj odosobniony. Niech pośpieszą z podobnemi datkami ci szczęśliwi, którym św. Hubert nie szczędził swej łaski, umożliwiając im oddanie strzału do grubszego zwierza, jak wilka, dzika, jelenia i t. p., a inni — z racji otrzymania odznaczenia łowieckiego — jednem słowem tytuł się znajdzie, byleby tylko nie brakło dobrej woli!

Wyrażam głębokie przekonanie, że moja propozycja spotka się z pełnem uznaniem ogółu myśliwych.

A zatem do czynu, szanowni Koledzy z pod znaku św. Huberta!

INŻ. BOLESŁAW DALBOR.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z PUSZCZY IŁŻECKIEJ.

Niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że niedaleko od Warszawy, o 35 kilometrów zaledwie od Radomia ocalał pokaźny szmat lasu, stanowiący część dawnych bogatych włości biskupów krakowskich, których zamek w Iłży, aczkolwiek w ruinie, panuje teraz jeszcze nad okolicą.

Las ten, o powierzchni, sięgającej blisko 50.000 mg., składający się z jednego wielkiego kompleksu i dwóch mniejszych, znajdujących się w pobliżu, podzielony jest na 14 leśnictw, o powierzchni od 1.200 do 2.000 hektarów każde i przedstawia niesłychanie ciekawy objekt pod każdym względem, dla myśliwego zaś stanowić może prawdziwie ciekawy przedmiot zainteresowania. Lasy iłżeckie, obecnie własność starachowickich Zakładów górniczych i hutniczych s. a. przylegają do rzeki Kamiennej, leżą między Wąchockiem, Siennem, Iłżą i Ostrowcem, graniczą z lasami ostrowieckiemi oraz rządowemi i stanowią jakby część oderwaną od lasów, położonych w górach Świętokrzyskich. Drzewostany lasów iłżeckich noszą jeszcze ślady dawnej potęgi; dziś jeszcze imponują pozostałe tu okazy olbrzymich dębów, modrzewi, buków i jodeł. W Kamiennej znajduje się od czasu do czasu czaszki turów, olbrzymich jeleni, rogi, a w opowiadaniach żyjących jeszcze, dawnych, starych gajowych — pozostają wspomnienia o ostatnich padłych tu łosiach i głuszcach... Królewskie łowisko...

Żywe, żyjące wspomnienia potęgi Piastów i Jagiellonów... Późniei teren walk o niepodległość, miejsca przepojone krwią powstańców, snujące legendy o Langiewiczu, Czachowskim, ich walkach, powodzeniach i klęskach, gościniec, na którym ukryty został skarb powstańców, kaplice, drzewa historyczne, wspomnienia o zamku, w którym więziono zwyciężonych Krzyżaków..., a w głębi lasów, pod wiekowemi jodłami, w zwartych zagajach — resztki królewskiego zwierza...

Rok 1930 stał się okresem przełomowym w życiu Puszczy Iłżeckiej. Nowy skład dyrekcji Zakładów objął swą troskliwą opieką nietylko lasy, ale też i ich mieszkańców, a czas po temu był najwyższy. Zwierzyna nietylko wybijana była na granicach i po za granicami, w przylegających lasach, nietylko ginęły jelenie od kul kłusowników, lecz wybijano je w majątkach quasi-kulturalnych sąsiadów, a znany jest fakt zabicia jelenia, oślepionego uprzednio zapomocą reflektorów automobilowych. Gromady kłusowników, wśród których nie brak było i funkcjonarjuszy państwowych, nachodziły las w poszukiwaniu taniego mięsa.

Rok 1931-y przyniósł pierwsze radykalne zmiany w całej gospodarce leśnej i łowieckiej. Wszelkie roboty leśne ujęte zostały w planową i racjonalną kolejność, przez co lęgi cietrzewi i rzadkiego, a miłego ptaszka jarząbka — odbyły się po raz pierwszy normalnie; walka z wałęsającemi się psami, kotami i leśnymi szkodnikami przybrała charakter systematyczny; założone w najlepiej chronionych rewirach lizawki, karmienie zwierzyny, które po raz pierwszy stosować zaczęto zimą roku 1931/32, wszystko to razem ściągnęło zwierzynę do odpowiednich dla niej okręgów, możliwie dalej od niebezpiecznych sąsiadów. W dalszym ciągu założone poiska, kąpieliska, paśniki i poletka łowieckie dały nadzwyczajne wyniki. W roku 1932 zniszczono psów 141, kotów 43, wron 397, jastrzębi 55, sów 4, srok 13 padł lumak 1, gronostaj 1, tchórz 1. Lisów ubito 31 sztuk. Padło na polowaniach w roku 1931: 189 zajęcy, 3 dziki, 7 lisów, 8 cietrzewi i 3 jarząbki, w roku 1932: 253 zające, 1 rogacz, 12 cietrzewi, 8 lisów, 1 bażant, 3 jarząbki, 3 dziki.

W obecnej chwili zwierzostan osiągnął poziom taki, iż myśleć można już o racjonalnym odstrzale; w ciągu dwóch ubiegłych sezonów myśliwskich nie odstrzelono ani jednego jelenia, rogacz zaś padł tylko jeden. Można liczyć, że w okres hodowlany 1933 roku lasy iłżeckie wchodzą z następującym inwentarzem: około 75 jeleni, 300 sarn, 100 dzików, przytem zaznacza się nadmierna ilość lisów, a w związku z tem nienormalny stosunek kogutów cietrzewi do kur, nieznaczna ilość jarząbków, zajęcy, kuropatw i bażantów. Przy kopaniu nor lisich — spiżarnie, przepełnione resztkami zajęcy, cietrzewi, jarząbków i kuropatw — wziętych widocznie na gniazdach.

Walka z kłusownictwem idzie obecnie na ostre. Dyrekcja Zakładów, stojąc na stanowisku konieczności wykorzenienia wszelkich nadużyć leśnych, wyznaczyła wysokie nagrody za ujęcie w lesie kłusowników z bronią w ręku, było to tembardziej koniecznem, że spotkania ze strażą kończyły się zwykle pogróżkami użycia broni ze strony kłusowników, ilość zaś tych ostatnich, występujących gromadami i zupełnie jawnie, stanowiła zupełnie określone niebezpieczeństwo. W kilku wypadkach doszło do wymiany strzałów i tylko pomyślny zbieg okoliczności uchronił straż leśną od ciężkich następstw walki z kłusownictwem. W okresie dwuletnim zatrzymano w lasach 30 kłusowników i 18 wnykarzy. Niestety, walka z tego rodzaju przestępstwami jest niesłychanie utrudniona z powodu ogromnie liberalnego wymiaru

kar przez władze, odnoszące się zwłaszcza do wnykarzy z ogromną wyrozumiałością. Jako przykład służyć może fakt, że jeden z kłusowników, postrach okolicy, wielokrotnie łapany na gorącym uczynku, został skazany na 15 złotych grzywny. Nie można nie wyrazić żalu, że tego rodzaju wymiar kar został wprowadzony w system, zwiększając agresywność i poczucie bezkarności kłusowników, zniechęcając jednocześnie te organy, których obowiązkiem jest tępienie kłusownictwa i walka z nielegalnem posiadaniem broni, tembardziej, że faktem jest, iż kłusownictwo, jak również wnykarstwo — stale szerzy się w czasie ochronnym, w porze niedozwolonej i częstokroć na zwierzynę wogóle chronioną (łanie i sarny).

Należy podkreślić, że w okolicy jedynie w paru majątkach racjonalna hodowla i ochrona zwierzyny są traktowane należycie, ale po za temi rzadkiemi wyjątkami, „myśliwi" mają na celu jedynie ubicie możliwie większej ilości zwierzyny, ochrona zaś i żywienie nigdzie prawie się nie stosuje. „Tępienie, w każdej ilości i w każdej porze", strzeżenie granic, by zwierzyna, która je przekroczyła, nie uszła żywą — oto hasło 90% „myśliwych" naszego rejonu.

W tych warunkach praca, zmierzająca do przywrócenia dawnej świetności dawnym łowiskom królewskim w Puszczy Iłżeckiej, jest prawdziwie trudna i uciążliwa.

JÓZEF PIEROŻYŃSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Iłża.

DZIAŁ URZĘDOWY.

DELEGACI POWIATOWI.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich zatwierdził następujące kandydatury na delegatów Związku:

p. mjr. Rudolfa Mizgalewicza, Kielce, 4 p. p. leg., na powiat Kielce woj. kieleckiego,

p. star. Jerzego de Tramecourt, Wilno, na powiat Wilno-Troki woj. wileńskiego,

p. Aleksandra Janasza, Błędów, Dańków, na powiat Grójec woj. warszawskiego.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

LEŚNA TRAGEDJA.

W ubiegłym miesiącu podleśniczy rewiru Goszczewo (pow. kosowski woj. poleskiego), dzierżawionego przez p. Maurycego hr. Potockiego, Bronisław Pięta, był świadkiem następującego zdarzenia.

Gdy objeżdżał rewir, dwie spłoszone sarny omal nie wpadły pod jego sanki, a jednocześnie spostrzegł trzecią sarnę, przewracającą się opodal w śniegu. Zainteresowany tem, podleśniczy Pięta, zeskoczywszy z sanek i podbiegłszy, spostrzegł, że sarnę trzyma w swych pazurach ryś.

Napastnik i ofiara, złączeni w jedną całość, tulują w tumanie śniegu. Na okrzyk podleśniczego ryś puścił sarnę i jednym susem znikł w gąszczu, sarna zaś wlokła się jeszcze kilka kroków po ziemi, poczem wstała i uszła.

Scena ta trwała zaledwie kilkanaście sekund, a sarna farbowała dość znacznie, cieniutkim strumykiem po obu stronach tropu, co wskazuje na przecięcie arterji w szyi.

Podleśniczy Pięta, idąc za tropem sarny, stwierdził, że ryś trop ten niedaleko od miejsca napadu odnalazł i podążył w pościgu za swą ofiarą.

Późna pora, a następnie śnieg, który obficie spadł w ciągu nocy, uniemożliwił wyśledzenie tej leśnej tragedji do końca.

Jak ślady wykazały, ryś zaatakował sarnę, skacząc na nią z powalonego drzewa, obok którego przechodziła.



KLUB SETTRA W POLSCE

urządza w dniu 23-go kwietnia roku bieżącego field-trialsy.

I — Derby i II — klasę otwarcia dla wyżłów angielskich wszystkich ras.

Zamknięcie listy uczestników w dniu 11 kwietnia r. b.

Opłata 10 zł. od psa w każdej klasie.

Sędziowie pp.: dr. Ignacy Grymiński, Kazimierz Kamieński, inż. Andrzej Śliwiński.

Zastępcy pp.: dr. Antoni Bielawski, Bazyli Przychodźko.

Zapisy przyjmuje p. Antoni Brudnicki, Krucza 34, tel. 8 51-14.



POINTER KLUB W POLSCE

urządza w dniu 30 kwietnia r. b. wiosenne próby polowe (field-trialsy) dla psów myśliwskich angielskich ras, zapisanych, lub mających prawo być zapisanemi do ksiąg rodowych.

Field-trialsy odbędą się na polach dóbr Wilanów.

Psy będą próbowane w pierwszej klasie — młodzieży (nagroda „Derby"), dla psów i suk w wieku do 18 miesięcy, i w drugiej klasie, otwartej dla psów i suk bez różnicy wieku. Regulamin tych prób, opracowany na zasadach regulaminów Angielskiego Kennel-Clubu i Federation Cynologique Internationale w Belgji, będzie ogłoszony w „Łowcu Polskim".

Oprócz cennych przedmiotów, będą przyznane dyplomy na 1, 2, 3 i rezerwowe miejsce oraz „zaświadczenia polowe".

Do jury zostali zaproszeni pp.: dr. Ignacy Gryminski, Bazyli Przychodźko, inż. Andrzej Śliwiński, na zastępcę i zarazem sekretarza prób — Kazimierz Kamieński, na gospodarza — Konrad Antoszewski.

WIADOMOŚCI RYBACKIE.

NARYBEK WĘGORZA.

Wielkopolskie i pomorskie Towarzystwo rybackie w Bydgoszczy, wzorem lat ubiegłych, przystępuje do przeprowadzenia akcji zarybiania węgorzem wód, położonych na terenie wszystkich województw Rzeczypospolitej Polskiej.

Dzięki kilkoletniej praktyce i zastosowanym na podstawie zdobytego doświadczenia udoskonaleniom — można stwierdzić, iż narybek węgorza może być dostarczonym nawet do najodleglejszych punktów dostawy w stanie zupełnie dobrym.

Cena narybku jest przystępna, gdyż za 1 kg. (około 4.000 sztuk) wynosi — loco punkt rozdzielczy w Bydgoszczy przy zamówieniach do 1 kg. — 58.— zł., ponad 1 kg. — 54.— zł.

Nabywcom udziela się dogodnych warunków spłaty. Członkowie wielkopolskiego i pomorskiego Towarzystwa rybackiego korzystają z 5% ulgi od wyżej podanych cen narybku.

Dla hodowli węgorzy najlepiej nadają się jeziora o dnie miękkiem, mulistem, z porostem roślinności podwodnej, całkowicie zamknięte, albo posiadające wąskie przepływy.

Hodowla węgorza w stawach sztucznych, spuszczanych rok rocznie, zupełnie się nie opłaca.

Po wszelkie informacje i po blankiety zamówieniowe należy zgłaszać się pod adresem: Wielkopolskie i pomorskie Towarzystwo rybackie w Bydgoszczy, ul. Zygmunta Augusta Nr. 4, dołączając znaczek pocztowy 30 gr. na koszty biurowe.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

„Echa leśne", miesięcznik ilustrowany Związku zawodowego leśników Rzeczypospolitej Polskiej pod redakcją Leonarda Cbociłowskiego. Warszawa, rok X, Nr 1, styczeń 1933 r. 24 strony druku w ósemce.

Styczniowy numer „Ech leśnych", w ozdobnej, barwnej okładce, bogaty jest pod względem treści, zebranej i ułożonej planowo i ciekawie, a zdjęcia i ładne winiety urozmaicają interesującą całość.

Na wstępie znajdujemy dział, poświęcony lasom państwowym, a w nim korespondencję „Poznajmy się", artykuł o państwowym przemyśle tartacznym, fachowe wskazówki, jak rozpoznawać należy wady drewna, „Z praktyki nad żywicowaniem", program odczytów „leśnych", z żałobnej karty. Dalej następują artykuły: „Na froncie propagandy lasu i leśnictwa", z którego bije nadzieja, że wkrótce „Echa leśne" przeistoczą się w dwutygodnik, „Walka o lesistość kraju". W dziale zagranicznym — „Szkolne towarzystwa leśne we Francji".

Na specjalne podkreślenie zasługuje artykuł prof. dr. W. Goetla p. t. „Znaczenie gospodarcze parków narodowych" (dokończenie), głęboko uzasadniający potrzebę tworzenia takich parków.

Specjalny dział „Echa łowieckie" zawiera artykuły: „O dawnych puszczach naddźwińskich", „Rezerwaty — rewiry reprezentacyjnych polowań a ubezpieczenia funkcjonarjuszów leśnych", „Bajeczny kawał Chitrego".

Po za treścią z dziedziny leśnictwa i łowiectwa, w numerze „Ech leśnych" zamieszczono artykuł historyczny „Powstanie styczniowe na terenie Puszczy Białowieskiej", wreszcie rozmaitości.

Jako dodatek bezpłatny — pismo „Niwa leśna" pod redakcją inż. J. Buczackiego, w szesnastce.

— jb. —

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W Wierzchowiskach (pow. Lublin, woj. lubelskie), u p. Jana Koźmiana, odbyły się w roku 1932 następujące polowania 7 września w 9 strzelb ubito 444 sztuki (438 kuropatw, 2 przepiórki, 2 gołębie i 2 różne). — 3 listopada r. ub. ubito w 12 strzelb 875 sztuk (12 dzików, 645 zajęcy, 9 słonek, 135 bażantów, 72 kuropatwy, 2 różne). — 14 grudnia ubito w 5 strzelb 162 sztuki (92 zające, 70 bażantów).

Ogółem przez rok 1932 ubito w łowiskach dóbr Wierzchowiska: 14 dzików, 7 rogaczy, 737 zajęcy, 9 słonek, 207 bażantów, 702 kuropatwy, 3 przepiórki, 6 różnych, razem — 1.683 sztuki zwierzyny użytecznej.

Szkodników w tymże roku ubito: 2 lisy, 2 tchórze, 30 łasic, 202 jastrzębie, 36 kruków, 476 wron, 119 psów, 77 kotów, razem sztuk 944.

W roku 1931 na powyżej wymienionych terenach ubito: zwierzyny łownej 23 dziki, 7 rogaczy, 76 zajęcy, 2 słonki, 161 bażantów, 502 kuropatwy, 2 przepiórki, 2 derkacze, 6 różnych. Razem sztuk 781.

Szkodników: 6 lisów, 8 tchórzy, 38 łasic, 2 orły, 281 jastrzębi, 24 kruki, 412 wron, 113 psów, 87 kotów, razem sztuk 969.

— Dn. 14 listopada r. z. odbyło się polowanie leśne w Smolicach (woj. pozn.), dobrach pani hr. Zieten. Ubito 327 sztuk zwierzyny, w 4 strzelby.

— Dn. 22 listopada r. z. odbyło się polowanie na bażanty w Łagiewnikach u pp. Przyłuskich. Polowano w dwie strzelby; padło 362 sztuki. Dn. 20.12. odbyło się w Łagiewnikach polowanie polne w 5 strzelb; ubito 700 sztuk. Świetny rezultat polowań i doskonałe ich prowadzenie dowodzą, że młody gospodarz nietylko jest pierwszorzędnym myśliwym, ale również wybitnym hodowcą, gdyż przez tępienie drapieżników i fachowe pielęgnowanie zwierzyny znacznie podniósł zwierzostan.

— Dn. 9 grudnia odbyło się polowanie polne w Borzęciczkach, dobrach ks. Stolberg. W 6 strzelb ubito 635 sztuk, królował hr. M. Czarnecki ze 136 sztukami na rozkładzie.

— Dn. 12 grudnia odbyło się polowanie polne w Rusku u hr. Z. Czarneckich. Padło 586 sztuk. Najwięcej zabił p. Jan Lipski (113 sztuk).

— Dn. 14 grudnia odbyło się polowanie leśne w Gogolewie, dobrach hr. St. Czarneckich. Polowali Janusz i Marjan hr. Czarneccy, p. Henryk Chłapowski, p. Kazimierz Lipski i p. Zygmunt Niegolewski. Ubito 408 sztuk, najwięcej zabił hr. M. Czarnecki (102 sztuki).

Wogóle w Poznańskiem było w tym sezonie myśliwskim znacznie mniej zajęcy niż w innych latach; zauważono częste wypadki motylicy.

— Dnia 26 stycznia r. b. Nadniemeńskie Kółko Łowieckie urządziło polowanie na swych terenach w nadleśnictwie Bersztowskiem. Padło 2 wilki, 2 lisy i 4 dziki.

— W Klemensowie u Maurycego hr. ord. Zamoyskiego odbyło się dn. 4 stycznia r. b. polowanie na dziki. Udział brali pp.: Włodzimierz i Tadeusz hr. Dieduszyccy, Artur hr. Tarnowski, Stanisław hr. Zamoyski, Władysław hr. Tyszkiewicz, ordynat hr. Zamoyski i trzej jego synowie. Przy doskonałem prowadzeniu polowania przez gospodarza i p. nadl. Otto, po czarnej stopie, na obszarze 161 ha zabito w ciągu jednego dnia 14 dzików i 5 lisów. 5 stycznia, w parku zabito 350 bażantów. 7 stycznia upolowano 5 dzików i 1 lisa (w 6 strzelb).

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Koothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082 **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15